



BRUNO SCHULZ

Martwy sezon

wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

BRUNO SCHULZ
SANATORIUM POD KLEPSYDRĄ

Martwy sezon

I

O piątej godzinie rano — rano jaskrawe od wczesnego słońca, dom nasz kąpał się już od dawna w żarliwym i cichym blasku porannym. O tej solennej godzinie, nie podglądany przez nikogo, wchodził on cały po cichu — podczas gdy przez pokoje w półmroku spuszczonej storów¹ szedł jeszcze solidarnie zgodliwy oddech śpiących — w fasadę płonącą w słońcu, w ciszę wczesnego żaru, jakby był ulepiony na całej powierzchni z błogo uśpionych powiek. Tak, korzystając z ciszy tych uroczystych go-

¹story — zasłony. [przypis edytorski]

dzin, chłonał najpierwszy ogień poranka twarzą uśpioną błogo, mdlejącą w blasku, lineaturą rysów drgających lekko przez sen od marzeń tej natężonej godziny. Cień akacji przed domem, falujący jaskrawo na tych gorących powiekach, powtarzał na ich powierzchni, jak na fortepianie, wciąż na nowo ten sam połyskliwy swój frazes, splukiwany przez powiew — próbując nadaremnie wniknąć w głąb tego snu złotego. Płócienne story chłoneły poranny pożar, porcja za porcją, i opalały się smagło², omdlewając w bezbrzeżnym blasku.

O tej wczesnej godzinie ojciec mój, nie mogąc już znaleźć snu, schodził ze schodów, obciążony księgami, ażeby otworzyć sklep znajdujący się w parterze kamienicy. Przez chwilę stał w bramie nieruchomy, wytrzymując z przymkniętymi oczyma potężny atak ognia słonecznego. Osłoneczniona ściana domu wciągała go słodko w swą płaskość zniwelowaną³ błogo, wygładzoną do zaniku. Na chwilę stawał się ojcem

²smagły — (o cerze, skórze) ciemny, oliwkowy. [przypis edytorski]

³zniwelowany — tu: wyrównany. [przypis edytorski]

płaskim, wrośniętym w fasadę, i czuł, jak ręce rozgałęzione, drżące i ciepłe zablizniają się płasko wśród złotych sztukaterij⁴ fasady. (Iluż ojców wrosło już tak na zawsze w fasadę domu o piątej godzinie rano, w chwili gdy zstępowali z ostatniego stopnia schodów. Iluż ojców stało się w ten sposób na zawsze odźwiernymi własnej bramy, płasko rzeźbionymi na framudze⁵, z ręką na klamce i z twarzą rozwiązaną w same równoległe i błogie bruzdy, po których potem wodzą miłośnie palce synów, szukając ostatnich śladów ojcowskich, wtopionych już na zawsze w uniwersalny uśmiech fasady.) Ale potem odrywał się ostatkiem woli, odzyskiwał trzeci wymiar i, znów ucłowieczony, uwalniał okute drzwi sklepu od kłódek i sztab żelaznych.

Gdy otwierał to ciężkie, okute żelazem skrzydło drzwi sklepowych, mrukliwy mrok cofał się o krok od wejścia, odsuwał się o piędź⁶ w głąb

⁴*sztukateria* — ornamenty na ścianach lub na sklepieniu wykonane z gipsu bądź stiuku. [przypis edytorski]

⁵*framuga* — rama, do której przymocowane jest okno lub skrzydło drzwi. [przypis edytorski]

⁶*piędź* — dawna miara długości. [przypis edytorski]

sklepu, przemieszczał się i układał leniwie w głębi. Dymiąc niewidzialnie z chłodnych jeszcze płyt chodnika, świeżość poranna stawała nieśmiało na progu nikłą, drgającą strugą powietrza. W głębi leżała ciemność wielu poprzednich dni i nocy w nie napoczętych balach sukna, ułożona warstwami, biegnącą szpalerami w głąb, w stłumionych pochodach i wędrówkach, aż ustawała bezsilnie w samym sednie sklepu, w ciemnym magazynie, gdzie rozwiązywała się, już nie-
zróżniczkowana⁷ i nasycona sobą, w głuchą majaczącą pramaterię sukienną.

Ojciec szedł wzdłuż tej wysokiej ściany szewiotów⁸ i kortów⁹, wodząc ręką po sztorcach bali sukiennych jak po rozporach sukien kobiecych. Pod jego dotknięciem uspokajały się te rzędy ślepych kadłubów¹⁰, zawsze gotowe do popłochu, do przełamania ordynku¹¹, umacniały się w swych sukiennych hierarchiach i porządkach.

⁷*niezróżniczkowana* — dziś popr.: niezróżnicowana. [przypis edytorski]

⁸*szewiot* — rodzaj tkaniny wełnianej. [przypis edytorski]

⁹*kort* — ciężka tkanina wełniana. [przypis edytorski]

¹⁰*kadłub* — ciało, tułów. [przypis edytorski]

¹¹*ordynek* (daw.) — szyk, porządek. [przypis edytorski]

Dla ojca mego był sklep nasz miejscem wiecznych udręczeń i zgryzot. Ten twór jego rąk nie od dziś zaczynał — dorastając — napierać nań z dnia na dzień coraz natarczywiej, przerastać go groźnie i niezrozumiale. Był on dla niego nadmiernym zadaniem, zadaniem nad siły, zadaniem wzniosłym i nie objętym. Ogrom tej pretensji przerażał go. Z grozą wpatrzony w jej wielkość, której całym swym życiem rzuconym na tę jedną kartę nie mógł zadośćuczynić — widział z rozpaczą lekkomyślność subiektów¹², płochy¹³, beztroski optymizm, figlarne i bezmyślne ich manipulacje, przebiegające na marginesie tej wielkiej sprawy. Z gorzką ironią badał tę galerię twarzy nie zmąconych żadną troską, czół nie zaatakowanych żadną ideą, gruntował¹⁴ do dna te oczy, których niewinnej ufności nie mącił najlżejszy cień podejrzenia. Cóż mogła mu pomóc matka z całą swą lojalnością i oddaniem? Refleks tej rzeczy nadmiernej nie dosięgał jej duszy prostej i niezagrozonej. Nie

¹²*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

¹³*płochy* — lekkomyślny. [przypis edytorski]

¹⁴*gruntować* — tu: zgłębiać. [przypis edytorski]

była stworzona do zadań heroicznych. Czyż nie widział, jak poza jego plecami porozumiewała się prędkim spojrzeniem z subiektami, rada¹⁵ z każdej chwili nie nadzorowanej, w której mogła brać udział w ich bezmyślnych błazeństwach?

Od tego świata lekkomyślnej beztroski odgraniczał się ojciec coraz bardziej, uciekał w twarzą regułę swego zakonu. Przerażony rozwiązłością szerzącą się wokoło, zamykał się w samotnej służbie wysokiego ideału. Nigdy ręka jego nie popuszczała zaciągniętych cugli¹⁶, nigdy nie pozwalał sobie na zwolnienie rygoru, na wygodną łatwiznę.

Na to mógł sobie pozwolić Bałanda i Ska i ci inni dyletanci branży, którym obcy był głód doskonałości, asceza wysokiego mistrzostwa. Ojciec patrzył z boleścią na upadek branży. Kto z dzisiejszej generacji kupców bławatnych¹⁷ znał jeszcze dobre tradycje dawnej sztuki, kto z nich wiedział jeszcze na przykład, że kolumna bali

¹⁵rad (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

¹⁶cugle — wodze. [przypis edytorski]

¹⁷kupiec bławatny (daw.) — kupiec handlujący tkaninami. [przypis edytorski]

sukiennych, ułożona w półkach szafy w myśl zasad sztuki kupieckiej, musiała pod zjeżdżającym z góry na dół palcem wydać ton jak gama klawiszy? Komu z dzisiejszych dostępne były ostatnie finezje stylu w wymianie not, memorandumów i listów? Kto znał jeszcze cały urok dyplomacji kupieckiej, dyplomacji dobrej starej szkoły, cały ten pełen napięcia przebieg negocjacji, od nieprzejednanej sztywności, od zamkniętej rezerwy przy pojawieniu się pełnomocnego ministra zagranicznej firmy poprzez powolne tajanie pod wpływem niezmordowanych zabiegów i umizgów¹⁸ dyplomaty aż do wspólnej kolacji, z winem, podanej na biurku, na papierach, w podniosłym nastroju, wśród szczypania pośladków usługującej Adeli i wśród pieprznej i swobodnej rozmowy, jak między paniami, którzy wiedzą, co winni są chwili i okoliczności — a zakończonej obustronnie korzystnym interesem?

W ciszy tych godzin porannych, podczas których skwar dojrzewał, ojciec mój spodzie-

¹⁸*umizgi* (daw.) — zaloty. [przypis edytorski]

wał się znaleźć szczęśliwy i natchniony chwyt, którego potrzebował, by zakończyć list do panów Chrystiana Seipla i Synów, przedzalnie i tkalnie mechaniczne. Była to cięta odprawa dana nieuzasadnionym rozszczeniom tych panów, replika¹⁹ urwana właśnie w decydującym miejscu, gdzie styl listu miał podnieść się do mocnej i dowcipnej pointy szczytowej, w momencie której następowało to spięcie elektryczne, wyczuwalne lekkim dreszczem wewnętrznym, a po którym już tylko opaść mógł zwrotem zrobionym z rozmachem, z elegancją, i już zamykającym i definitywnym. Czuł kształt tej pointy, która mu się od dni wymykała, miał ją nieomal między palcami, wciąż nieuchwytną. Brakło mu tej chwili szczęśliwego humoru, momentu szczęśliwej werwy, ażeby wziąć szturmem przeszkodę, o którą za każdym razem się rozbijał. Wciąż na nowo sięgał po czysty arkusz, ażeby ze świeżego rozpędu sforsować trudność urągającą jego wysiłkom.

¹⁹replika — tu: odpowiedź. [przypis edytorski]

Tymczasem sklep zaludniał się stopniowo subiektami. Wchodzili czerwoni od wczesnego żaru, omijając z daleka biurko ojca, ku któremu zerkali trwożliwie, pełni złego sumienia.

Pełni zmazy i słabości, czuli na sobie ciężar jego milczącej dezaprobaty, której nic przeciwstawić nie mogli. Nic nie mogło przebłagać tego zamkniętego w swych troskach szefa, żadną gorliwością nie można go było udobruchać, zaczajonego jak skorpion za biurkiem, znad którego błyszczał jadowicie szklami okularów, szleszcząc jak mysz wśród papierów. Podniecenie jego rosło, nieokreślona pasja wzmagala się, w miarę jak żar słońca nasilał się coraz bardziej. Czworobok blasku na podłodze pałał. Metaliczne i lśniące muchy polne przecinały błyskawicami wejście do sklepu, stawały na chwilę na szpaletach²⁰ drzwi, jakby wydmuchane ze szkła metalicznego — bańki szklane wytchnięte z gorącej fajeczki słońca, z huty szklanej tego dnia płomiennego, stawały z rozszerzonymi skrzydełkami, pełne lotu i chyżości, i wymieniały

²⁰*szpalety* — drewniana boazeria wokół drzwi. [przypis edytorski]

swe miejsca we wściekłych gzygzakach²¹. W jasnym czworoboku drzwi omdlewały w blasku dalekie lipy parku miejskiego, odległa sygnaturka kościoła majaczyła całkiem blisko w tym przejrzystym i drgającym powietrzu jak w soczewce lunety. Blaszane dachy pałały. Nad światem wzdymała się ogromna, złota bania upału.

Rozdrażnienie ojca rosło. Rozglądał się bezradnie, skurczony boleśnie, wycieńczony diareą²². W ustach miał smak bardziej gorzki od piołunu.

Upał wzmagał się, wyostrzał wściekłość much, wyiskrzał świetliste punkty na ich metalicznych odwłokach. Czworobok światła doszedł do biurka i papiery płonęły jak Apokalipsa. Oczy oświetlone nadmiarem światła nie mogły już utrzymać jego białej jednolitości. Przez swe grube szkła chromatyczne widzi ojciec wszystkie przedmioty obrzeżone purpurą, w fioletowo-zielonych obwódkach, i ogarnia go rozpacz nad tą eksplozją kolorów, nad tą anarchią barw, szale-

²¹*gzygzak* — dziś popr.: *zygzak*. [przypis edytorski]

²²*diarea* (daw.) — biegunka. [przypis edytorski]

jącą nad światłem w świetlanych orgiach. Ręce jego drżą. Podniebienie jest gorzkie i suche jak przed atakiem. W szparach zmarszczek zaczajone oczy śledzą z uwagą rozwój wypadków w głębi.

II

Gdy w południowej godzinie ojciec, już na granicy obłądu, bezradny z upału, drżąc z bezprzedmiotowego wzburzenia, wycofywał się do górnych pokoi i pułapy piętra trzaskały w ciszy to tu, to tam pod jego zaczajonym przykucnięciem, w sklepie nastawała chwila paury i odprężenia — przychodziła godzina sjesty południowej.

Subiekci koziołkowali na balach sukna, rozbijali na półkach sukienne namioty, zwieszali huśtawki z draperii. Odwijali głuche bale, wypuszczali na wolność puszystą, stokrotnie zwinietą, stuletnią ciemność. Zleżały od lat, pilśniowy mrok wypuszczony na wolność napełniał górne przestrzenie wonią innego czasu, za-

pachem dni przeszłych, ułożonych cierpliwie niezliczonymi warstwami za dawnych, chłodnych jesieni. Ślepe mole wysypywały się w zmroczniałym powietrzu, puszki pierza i wełny krążyły po całym sklepie z tym wysiewem ciemności i zapach apretury²³, głęboki i jesienny, napełniał to ciemne obozowisko sukna i aksamitu. Biwakując wśród tego obozowiska, myśleli subiekci o figlach i kawałach. Dawali się kolegom zawijać ciasno aż po uszy w ciemne, chłodne sukno i leżeli tak rzędem, błogo znieruchomieni pod stosem bali — żywe postawy²⁴, mumie sukienne, toczące oczyma z udanym przerażeniem nad swą nieruchomością. Albo dawali się bujać i podrzucać aż pod sufit na ogromnych rozpostartych obrusach sukna. Głuchy łopot tych płacht i wianie wachlowanego powietrza wprawiało ich w nieprzytomny zachwyty. Zdawało się, że cały sklep zrywa się do lotu, sukna wstawały natchnione, subiekci wzlatywali

²³*apretura* — substancja, którą nasycane są tkaniny na ostatnim etapie obróbki. [przypis edytorski]

²⁴*postaw* (daw.) — jednostka miary tkanin. [przypis edytorski]

z rozwianymi połami, jak prorocy, w krótkotrwałych wniebowstąpieniach. Matka patrzyła przez palce na te figle, rozluźnienie tych godzin sjeisty usprawiedliwiało w jej oczach najgorsze wybryki.

Latem zarastał sklep dziko i niechlujnie zieliskiem. Od strony podwórza, od magazynu, okno zieleniało całe od chwastów i pokrzyw, podwodne i migotliwe od lśnień listnych, od falujących refleksów. Jak na dnie starej zielonej butelki bzykały w nim muchy w półmroku długich, letnich popołudni w nieuleczalnej melancholii — chore i monstrualne okazy wyhodowane na słodkim winie ojca, kosmacy samotnicy, oplakujący dzień cały swój los przeklęty, w długich monotonnych epopejach. Ta zwyrodniała rasa much sklepowych, skłonna do dzikich i niespodzianych mutacji, obfitowała w osobniki zdziwaczałe, płody kazirodzonych skrzyżowań, wyradzała się w jakąś nadrasę ociężałych olbrzymów, weteranów o głębokim i żalobnym timbrze²⁵, dzikich i posep-

²⁵*timbre* a. *tembr* — barwa głosu. [przypis edytorski]

nych druidów własnego cierpienia. Ku końcowi lata wylęgli się wreszcie ci samotni pogrobowcy, już ostatni z rodu, podobni do wielkich niebieskich żuków, niemi już i bez głosu, ze zmarniałymi skrzydłami, i dokonywali smutnego żywota, zbiegając bez końca zielone szyby w niezmordowanych i błędnych wędrówkach.

Drzwi rzadko otwierane zarastały pajęczyną. Matka spała za biurkiem, w hamaku z sukna zawieszzonego między półkami. Subiekci, trapieni przez muchy, drgali, pełni grymasów, rzucając się w niespokojnym śnie letnim. Na podwórzu tymczasem rozrastało się zielsko. Pod dziką spieką²⁶ słońca plenił się śmietnik generacjami ogromnych pokrzyw i ślazów.

Z zetknięcia słońca i odrobiny wody grunтовой zaczynała się na tym kawałku ziemi zjadliwa substancja zielska, swarliwy odwar, jadowity derywat²⁷ chlorofilu²⁸. Tam warzył się ten febryczny ferment w słońcu i bujał w lekkie

²⁶*spieka* — dziś: spiekota. [przypis edytorski]

²⁷*derywat* — pochodna. [przypis edytorski]

²⁸*chlorofil* — substancja odpowiedzialna za proces fotosyntezy, nadająca liściom zieloną barwę. [przypis edytorski]

formacje listne, wielokrotne, ząbkowane i pomarszczone, powtórzone tysiąckrotnie według jednego wzoru, według utajonej w nich jedynej idei. Dorwawszy się swojej chwili, ta zaraźliwa koncepcja, ta płomienna i dzika idea szerzyła się jak ogień — zażegnęta²⁹ słońcem rosła pod oknem pustą, bibulastą paplaniną zielonych pleonazmów³⁰, lichota zielna rozmnożona stokrotnie w niewybredne, wierutne brednie — papierowa tandetna łatanina, tapetująca ścianę magazynu coraz większymi szelestnymi płatami, puchnącymi włochato, tapeta na tapecie. Subiekci budzili się z przelotnej drzemki z wypiekami na twarzy. Dziwnie podnieceni, podnosili się z posłania pełni gorączkowej przedsiębiorczości, imaginując³¹ heroiczne bufanady³². Trawieni nudą, kołysali się na wysokich półkach i bębnilo nogami, wypatrywa-

²⁹*zażec* (daw.) — zapalić. [przypis edytorski]

³⁰*pleonazm* — błędne wyrażenie składające się ze słów oznaczających to samo. [przypis edytorski]

³¹*imaginować* — wyobrażać sobie. [przypis edytorski]

³²*bufanada* — pozowanie, przechwałki. [przypis edytorski]

li nadaremnie pustą przestrzeń rynku, wymiecioną skwarem, za jakąkolwiek przygodą.

Zdarzało się wtedy, że kmiotek ze wsi, bosy i zgrzebny, przystawał we drzwiach sklepu z wahaniami, nieśmiało zaglądając do środka. Dla znudzonych subiektów była to gratka nie lada. Błyskawicznie spuszczała się z drabin, jak pająki na widok muchy, i wnet otoczony, ciągniony i popychany, zasypywany tysiącem pytań odcinał się chłopiec z zawstydzonym uśmiechem indagacjom³³ natrętów. Skrobał się w głowę, uśmiechał się, patrzył z nieufnością na przywilnych lowelasów. A więc o tytoń chodziło? Ale jaki? Czy najprzedniejszy, macedoński, bursztynowozłoty? Nie? Wystarczał zwykły, fajkowy? Machorka? Tylko bliżej, bliżej proszę. Bez obawy. Subiekci dyrygowali go wśród komplementów lekkimi szturchańcami w głąb sklepu, ku bocznej ladzie przy ścianie. Subiekt Leon, wszedłszy za kontuar, usiłował wysunąć fikcyjną szufladę. O, jakże męczył się biedny, jak przygryzał wargi z daremnego wysiłku.

³³indagacja — dopytywanie się, wypytywanie. [przypis edytorski]

Nie! Należało walić w brzuch lady pięściami z rozmachem, z całej siły. Kmiotek, zachęcony przez subiektów, czynił to z przejęciem, pełen uwagi i skupienia. Wreszcie, gdy to nie poma-gało, wylazł na stół, tupając bosymi nogami, zgarbiony i siwiutki. Zanosiliśmy się od śmiechu.

Wtedy to zaszedł ten godny pożałowania incydent, który nas wszystkich napełnił smutkiem i wstydem. Nikt z nas nie był bez winy, jakkolwiek nie działaliśmy w złej woli. Była to raczej nasza lekkomyślność, brak powagi i zrozumienia dla wysokich trosk ojca, była to raczej nasza nieopatrność, która przy nieobliczalnej, zagrożonej, skłonnej do ostateczności naturze ojca doprowadziła do tych następstw prawdziwie fatalnych.

Podczas gdy stojąc w półkolu bawiliśmy się w najlepsze, ojciec wsunął się cicho do sklepu.

Przeoczyliśmy moment jego wejścia. Spozstrzegaliśmy go dopiero, gdy nagłe zrozumienie związku rzeczy przeszło go błyskawicą i wykrzywiło jego twarz dzikim paroksyzmem zgro-

zy. Matka przybiegła przerażona: — Co ci jest, Jakubie? — zawołała bez tchu. Chciała go, zrozpaczona, uderzyć w plecy jak kogoś, kto się zadławił. Ale już było za późno. Ojciec zjeżył się cały i nasrożył, twarz jego rozkładała się pośpiesznie na symetryczne człony przerażenia, przepoczwarczała się niewstrzymanie w oczach — pod ciężarem nie objętej klęski. Nim zdołaliśmy zrozumieć, co się stało, zawibrował gwałtownie, zabzyczał i wionął nam przed oczyma monstrualną, buczącą, kosmatą muchą stałowoblękitną, obijającą się w oszalałym locie o wszystkie ściany sklepu. Przejęci do głębi, słuchaliśmy beznadziejnego lamentu, głuchej skargi modulowanej wymownie, przebiegającej w dół i w górę przez wszystkie rejestry niezgłębionego bólu, nieutulonego cierpienia, pod ciemnym sufitem sklepu.

Staliśmy skonsterowani³⁴, głęboko zawstyżeni tym żalosnym faktem, unikając nawzajem naszych spojrzeń. W głębi serca czuliśmy pewną ulgę, że w chwili krytycznej znalazł jed-

³⁴skonsterowany — zakłopotany. [przypis edytorski]

nak to wyjście z głębokiego blamażu³⁵. Podziwialiśmy bezkompromisowy heroizm, z jakim bez opamiętania rzucił się w tę ślepą uliczkę desperacji, z której, zdawało się, nie było już powrotu. Należało zresztą ten krok ojca wziąć *cum grano salis*³⁶. Był to raczej gest wewnętrzny, demonstracja gwałtowna i rozpaczliwa, operująca jednak minimalną dozą rzeczywistości. Nie trzeba zapominać: większość tego, co tu opowiadamy, położyć można na karb tych aberracji³⁷ letnich, tej kanikularnej³⁸ półrzeczywistości, tych nieodpowiedzialnych marginaliów, przebiegających bez żadnej gwarancji na rubieżach³⁹ martwego sezonu.

Nasłuchiwaliśmy w milczeniu. Była to wyrafinowana zemsta ojca, odwet jego na naszych sumieniach. Byliśmy odtąd na zawsze skazani słyszeć to żalosne niskie buczenie, skarżące się coraz natarczywiej, coraz boleśniej, i rap-

³⁵*blamaż* — kompromitacja. [przypis edytorski]

³⁶*cum grano salis* (łac.) — z ziarenkiem soli, przen.: z ironią i dystansem. [przypis edytorski]

³⁷*aberracja* — odchylenie od normy. [przypis edytorski]

³⁸*kanikularny* (daw.) — wakacyjny, letni. [przypis edytorski]

³⁹*rubież* — granica. [przypis edytorski]

tem milknące. Przez chwilę wykosztowywaliśmy z ulgą tę ciszę, tę dobroczynną pauzę, podczas której budziła się w nas nieśmiała nadzieja. Lecz po chwili powracało nieukozone, coraz bardziej płaczliwe i rozdrażnione, i rozumieliśmy, że dla tego bezbrzeżnego bólu, dla tej buczącej klątwy skazanej na bezdomne obijanie się o wszystkie ściany — nie było mety⁴⁰ ani wyzwolenia. Ten głuchy na wszystkie perswazje, płaczliwy monolog i te pauzy, podczas których zdawał się na chwilę zapominać o sobie, ażeby potem obudzić się z tym głośniejszym i gniewnym płaczem, jak gdyby odwoływał z rozpaczą poprzednią chwilę ukojenia — rozdrażniały nas do głębi. Cierpienie, któremu nie ma kresu, cierpienie z uporem zamknięte w kręgu swej manii, cierpienie z zapamiętaniem, z zaciekłością samo siebie bicząca — staje się w końcu nieznośne dla bezradnych świadków nieszczęścia. Ten nieustanny, gniewny apel do naszej litości zawierał w sobie zbyt wyraźny wyrzut, zbyt jaskrawe oskarżenie

⁴⁰*meta* — tu: kres, koniec. [przypis edytorski]

naszego własnego błogostanu, ażeby nie budzić sprzeciwu. Replikowaliśmy⁴¹ wszyscy w duchu, pełni wściekłości zamiast skruchy. Czy już naprawdę nie było dlań innego wyjścia, jak rzuć się na oślep w ten stan żałosny i bezna dziejny, i czy, popadłszy weń, ze swojej czy naszej winy, nie mógł znaleźć więcej hartu ducha, więcej godności, ażeby go znieść bez skargi? Matka tylko z trudnością hamowała gniew. Subiekci, siedząc na drabinach w tępych osłupieniu, marzyli krwawo, gonili w myśli z płackiem skórzanym po półkach i oczy zachodziły im czerwono. Markiza⁴² płócienna nad portalem falowała jaskrawo w upale, popołudniowy skwar pędził milami jasnej równiny, pustosząc daleki świat pod sobą, a w półmroku sklepu, pod ciemnym sufitem krążył mój ojciec zaplątany bez wyjścia w pętlice swego lotu, oszalały, sam siebie motający w desperackich gzygzakach swej gonitwy.

⁴¹*replikować* — odpowiadać. [przypis edytorski]

⁴²*markiza* — składany daszek nad oknem lub drzwiami. [przypis edytorski]

III

Jak małe w gruncie rzeczy znaczenie wbrew wszelkim pozorom mają takie epizody, wynika z faktu, że jeszcze tego samego dnia wieczorem siedział mój ojciec jak zwykle nad swymi papierami — incydent zdawał się być dawno zapomniany, głęboki uraz przewyciężony i zarty. Naturalnie, że wstrzymywaliśmy się od wszelkich aluzyj. Patrzyliśmy z zadowoleniem, jak w zupełnej pozornie równowadze ducha, w pogodnej jakoby kontemplacji zapisywał skrętnie stronica za stronicą swym kaligraficznym, równym pismem. Tym trudniej za to dawały się zatrzeć ślady kompromitującej osobistości biednego kmiotka — wiadomo, jak uparczywie zakorzeniają się tego rodzaju pozostałości na pewnych podłożach. Przeoczyliśmy go umyślnie w ciągu tych pustych tygodni, tańczącego w tym ciemnym kącie na ladzie, z dnia na dzień mniejszego, z dnia na dzień bardziej szarego. Niemal już niedostrzegalny, podrygiwał jeszcze wciąż w tym samym miejscu na

swoim posterunku, uśmiechnięty dobrodusznie, zgarbiony nad ladą, pukał niezmordowanie, uważnie nasłuchując, mówił coś po cichu do siebie. Pukanie stało się jego właściwym powołaniem, w którym zatracił się bezpowrotnie. Nie odwoływaliśmy go. Zbyt daleko już był zaszedł, ażeby go jeszcze można było dosięgnąć.

Dni letnie nie mają zmierzchu. Nim obejrzeliliśmy się, była już noc w sklepie, zapalono wielką lampę naftową i sprawa sklepowa toczyła się dalej. W te krótkie noce letnie nie opłacało się wracać do domu. Podczas gdy godziny nocy płynęły, siedział ojciec w pozornym skupieniu i znaczył marginesy listów dotknięciami pióra w czarne latające gwiazdki, diabluki atramentu, puszki kosmate, wirujące błędnie w polu widzenia, atomy ciemności oderwane od wielkiej nocy letniej za drzwiami. Ta noc za drzwiami prószyła jak purchawka, wysiewał się w cieniu umbry⁴³ ten czarny mikrokosmos ciemności, zaraźliwa wysypka nocy letnich. Oku-

⁴³*umbra* (daw.) — abażur. [przypis edytorski]

lary oślepiały go, lampa naftowa wisiała za nimi jak pożar otoczony gmatwaniną błyskawic. Ojciec czekał, czekał niecierpliwie, i nasłuchiwał wpatrzony w jaskrawą biel papieru, przez którą płynęły te ciemne galaktyki czarnych gwiazd i pyłów. Poza plecami ojca, niejako bez jego udziału, toczyła się wielka rozgrywka o sprawę sklepu, toczyła się, rzecz dziwna, na obrazie wiszącym za jego głową, między registraturą a lustrem, w jasnym świetle lampy naftowej. Był to obraz-talizman, obraz niedocieczony, obraz-zagadka, interpretowany bez końca, wędrujący z generacji w generację. Cóż przedstawiał? Była to nieskończona dysputa tocząca się od wieków, nigdy nie dokończony proces między dwiema rozbieżnymi zasadami. Stali tam naprzeciw siebie dwaj kupcy, dwie antytezy, dwa światy. — Ja sprzedawałem na kredyt — krzyczał chudy, obdarty i osłupiały, i głos załamywał mu się z rozpacz. — Ja sprzedawałem za gotówkę — odpowiadał gruby w fotelu, przekładając nogę przez nogę i kręcąc kciukami splecionych na brzuchu dłoni. Jakże nienawi-

dził ojciec grubego. Znał ich od dziecka. Już na szkolnej ławie napełniał go wstrętem ten opasły egoista pożerający nieskończoną ilość bułek z masłem na pauzach. Ale nie solidaryzował się i z chudym. Ze zdumieniem patrzył, jak cała inicjatywa wymykała mu się z rąk, zagarnięta przez tych dwóch dysputujących. Z zapanowanym oddechem, ze znieruchomiałym zezem zza przesuniętych okularów oczekiwał ojciec wyniku, zjeżony i do głębi przejęty.

Sklep, sklep był niezgłębiany. Był on metą wszystkich myśli, nocnych dociekań, przerażonych zadumań ojca. Niedocieczony i bez granic stał on poza wszystkim, co się działo, mroczny i uniwersalny. W dzień leżały te sukienne generacje, pełne patriarchalnej powagi, ułożone podług starszeństwa, uszeregowane podług pokoleń i descendencji⁴⁴. Ale nocą wyłamywała się buntownicza, sukienka czarność i szturmowała niebo w pantomimicznych tyradach⁴⁵, w lucyferycznych improwizacjach.

⁴⁴*descendencja* (z łac.) — pochodzenie. [przypis edytorski]

⁴⁵*tyrada* — gniewny lub patetyczny monolog. [przypis edytorski]

Jesienią szumiał sklep, wypływał ze siebie wezbrany ciemnym sortymentem zimowego towaru, jak gdyby całe hektary lasów ruszyły z miejsca wielkim, szumiącym krajobrazem. W lecie, w martwym sezonie, mroczniał i cofał się do swych ciemnych rezerwatów, niedostępny i mrukliwy w swym sukiennym mateczniku. Subiekci walili po nocach drewnianymi łokciami, jak cepami, w głuchą ścianę bali, nasłuchując, jak ryczał boleśnie w głębi, zamurowany w niedźwiedzim jądrze sukiennym.

Po tych głuchych stopniach pilśni ojciec zstępował w głąb genealogii, na dno czasów. Był ostatnim z rodu, był Atlasem, na którego barkach spoczywał ciężar ogromnego testamentu. Dniami i nocami ojciec rozmyślał nad tezą tego testamentu, usiłował w nagłym błysku zrozumieć jego meritum. Nieraz patrzył pytająco, pełen oczekiwania, na subiektów. Sam bez znaków w swej duszy, bez lśnień, bez dyrektyw oczekiwał, że tym młodym i naiwnym, dopiero co przepoczwarczonym, objawi się nagle sens sklepu, który się przed nim zatajał.

Przypierał ich do ściany uporczywym mruganiem, ale oni, tępi i bełkocący, uchylali się od jego spojrzenia, uciekali wzrokiem, plotąc w zamieszaniu wierutne nonsensy. Rankami, wsparty na wysokiej lasce, wędrował ojciec, jak pasterz, wśród tej ślepej wełnianej trzody, tych tłumnych zatorów, tych falujących kadłubów beczących, bez głowy, przy wodopoju. Jeszcze czekał, odwlekał jeszcze tę chwilę, kiedy podźwignie cały swój lud i ruszy w zgiełkliwą noc tym objuczonym, mrowiącym się, stokrotnym Izraelem...

Noc za drzwiami była jak z ołowiu — bez przestrzeni, bez powiewu, bez drogi. Po paru krokach kończyła się ślepo. Dreptało się, jak w pólśnie, w miejscu u tej prędkiej granicy i podczas gdy nogi więzły, wyczerpawszy skąpą przestrzeń, myśl biegła dalej, bez końca, indagowana nieustannie, brana na spytki, prowadzona przez wszystkie manowce tej czarnej dialektyki. Dyferencjalna analiza⁴⁶ nocy toczy-

⁴⁶*dyferencjalna analiza* — analiza zwracająca uwagę na różnice. [przypis edytorski]

ła się z siebie samej. Aż w końcu nogi usta-
wały zupełnie w tym głuchym zaułku bez od-
pływu. Stało się tam po ciemku, w najintym-
niejszym zakątku nocy, jakby przed pisuarem,
w głuchej ciszy, całymi godzinami, z uczuciem
błogiego blamażu. Tylko myśl, pozostawiona
sobie, odkręcała się z wolna, zawiła anatomia
mózgu odwijala się jak z kłębka i wśród zja-
dliwej dialektyki toczył się bez końca abstrak-
cyjny traktat nocy letniej, przekoziółkowywa-
ny przez niestrudzone i cierpliwe indagacje, so-
fistyczne⁴⁷ pytania, na które nie było odpowie-
dzi. Tak przefilozofowywał się z trudem przez
spekulatywne przestrzenie tej nocy i wchodził,
już bezcielesny, w ostateczną głuszę.

Było już głęboko po północy, gdy ojciec
mój podniósł raptownie głowę znad papierów.
Powstał pełen ważności, z rozszerzonymi oczy-
ma, cały w słuch zamieniony. — Idzie — rzekł
z rozpromienioną twarzą — otwórzcie. — Nim
starszy subiekt Teodor podbiegł do szklanych
drzwi, zatarasowanych nocą, już przecisnął się

⁴⁷sofistyczny — tu: oparty na fałszywej argumentacji. [przypis edytorski]

przez nie obładowany tobołami, czarnobrody, świetny i uśmiechnięty — gość dawno oczekiwany. Pan Jakub do głębi wzruszony wybiegł naprzeciw, kłaniając się, i wyciągnął obie ręce. Objęli się. Przez chwilę zdawało się, że czarna, niska, błyszcząca lokomotywa pociągu zajeżdżała bezgłośnie pod same drzwi sklepu. Bagażowy w kolejowej czapce wniósł na plecach ogromny kufer.

Nie dowiedzieliśmy się nigdy, kim był naprawdę ten gość znakomity. Starszy subiekt Teodor utrzymywał niezłomnie, że był to w własnej osobie Chrystian Seipel i Synowie (przędzalnie i tkalnie mechaniczne). Niewiele przemawiało za tym, matka nie tajiła zastrzeżeń co do tej koncepcji. Jakkolwiek jednak rzecz się miała, nie było wątpliwości, że musiał to być potężny demon, jeden z filarów Krajowego Związku Kredytorów. Czarna aromatyczna broda okalała jego twarz tłustą, błyszczącą i pełną dostojności. Otoczony przez ojca ramieniem, szedł wśród ukłonów do biurka.

Nie rozumiejąc cudzoziemskiej mowy, słuchaliśmy z respektem tej ceremonialnej konwersacji pełnej uśmiechów, przymykania oczu, delikatnego i pełnego czułości klepania się po plecach. Po wymianie tych wstępnych grzeczności panowie przeszli do rzeczy właściwej. Rozłożono księgi i papiery na biurku, odkorkowano butelkę białego wina. Korzenne cygara w kątach ust, z twarzą ściągniętą w grymas opryskliwego ukontentowania wymieniali panowie krótkie parole⁴⁸, jednozgłoskowe znaki porozumiewawcze, palcem przytrzymując kurczowo właściwą pozycję księgi, z filuternym błyskiem augurów⁴⁹ w spojrzeniu. Z wolna dyskusja stawała się gorętsza, znać było z trudem hamowane wzburzenie. Zakąsywali wargi, cygara wisiały, gorzkie i wygasłe, z twarzy nagle zawiedzionych i pełnych niechęci. Drżeli z wewnętrznego wzburzenia. Ojciec mój oddychał przez nos, z wypiekami pod oczyma, włosy zjeżyły mu się nad spoconym czołem. Sytuacja za-

⁴⁸*parol* — słowo. [przypis edytorski]

⁴⁹*augur* — wróżbita w starożytnym Rzymie. [przypis edytorski]

ogniała się. Była chwila, iż obaj panowie zerwali się ze swych miejsc i stali nieprzytomni, sapiąc ciężko i błyszcząc ślepo szklami okularów. Przerazona matka błagalnie zaczęła klepać ojca po plecach, chcąc zapobiec katastrofie. Na widok damy obaj panowie oprzytomnieli, przypomnieli sobie kodeks towarzyski, ukłonili się sobie z uśmiechem i zasiedli do dalszej pracy.

Okolo drugiej po północy ojciec zatrzasnął wreszcie ciężką okładkę księgi głównej. Z niepokojem śledziliśmy w twarzach obu rozmówców, na czyją stronę przechylało się zwycięstwo. Humor ojca wydawał się nam sztuczny i wymuszony, natomiast czarnobrody rozpierał się w fotelu ze skrzyżowanymi nogami i oddychał cały życzliwością i optymizmem. Z ostentacyjną hojnością rozdzielał napiwki między subiektów.

Złożywszy papiery i rachunki, panowie podnosili się znad biurka. Ich miny były nader obiecujące. Mrugając do subiektów porozumiewawczo, dawali do poznania, że pełni są przedsiębiorczości. Markowali ochotę na tęgą birbant-

kę⁵⁰ za plecami matki. Były to czcze przechwałki. Subiekci wiedzieli, co o tym myśleć. Ta noc nie prowadziła nigdzie. Kończyła się nad rynsztokiem, w wiadomym miejscu, ślepą ścianą nicości i wstydliwego blamazu. Wszystkie ścieżki w nią prowadzące wracały do sklepu z powrotem. Wszystkie eskapady w głąb jej przestworów przedsięwzięte miały od początku złamane skrzydła. Subiekci odmrugowali z grzeczności.

Czarnobrody i ojciec, ująwszy się pod ramię, wyszli ze sklepu pełni ochoczości, odprowadzani pobłażliwymi spojrzeniami subiektów. Tuż za drzwiami gilotyna nocy ucięła im jednym zamachem głowy, plusnęli w noc jak w czarnej wodę.

Kto zbadał bezdeń nocy lipcowej, kto przemierzył, ile sążni w głąb leci się w próżnię, w której się nic nie dzieje? Przeleciawszy całą tę czarną nieskończoność, stali znowu przed drzwiami sklepu, jak gdyby dopiero co wyszli, odzyskując stracone głowy z wczorajszym jeszcze słowem nieużytych na ustach. Stojąc tak, nie

⁵⁰*birbantka* — pijatyka. [przypis edytorski]

wiedzieć jak długo, gawędzili monotennie, ni-
by to wracając z dalekiej wyprawy, związani
koleżeństwem rzekomych przygód i awantur
nocnych. Zesuwali wstecz kapelusze gestem pod-
chmielonych, zataczali się na miękkich nogach.

Omijając oświetlony portal sklepu, weszli
chyłkiem w bramę domu i zaczęli cichaczem
przeprawiać się przez skrzypiące schody pię-
tra. Tak przedostali się na tylny ganek przed
okno Adeli i usiłowali zaglądać do śpiącej. Nie
mogli jej dostrzec, leżała w cieniu z rozchyło-
nymi udami, spazmując bezprzytomnie w ob-
jęciach snu, z głową wstecz odrzuconą i pło-
nącą, fanatycznie snom zaprzysięgła. Dzwonili
w czarne szyby, śpiewali sprośne kuplety⁵¹. Ale
ona, z letargicznym uśmiechem na rozchyło-
nych ustach, wędrowała drętwa i kataleptycz-
na⁵² na swych dalekich drogach, o mile odda-
lona i niedosięgła.

Wtedy, rozwaleni na poręczy balkonu, zie-
wali szeroko i głośno, już zrezygnowani, i bęb-

⁵¹*kuplet* — zwrotka piosenki satyrycznej. [przypis edytorski]

⁵²*kataleptyczny* — patologicznie odrętwiały. [przypis edytorski]

nili nogami w deski balustrady. O jakiejś późnej i niewiadomej godzinie nocy znajdowali swe ciała, nie wiadomo jakim sposobem, na dwóch wąskich łóžeczkach, unoszone na wysoko spiętrzonych pościeli. Płynęli równolegle, śpiąc na wyścigi, wyprzedzając się na przemian pracowitym galopem chrapania.

Na którymś kilometrze snu — czy nurt senny złączył ich ciała, czy sny ich niepostrzeżenie zeszyły się w jedno? — uczuli w jakimś punkcie tej czarnej bezprzestrzeni, że leżąc sobie w objęciach walczą ze sobą ciężkim bezprzytomnym zmaganiem. Dyszeli sobie w twarz wśród jałowych wysiłków. Czarnobrody leżał na ojcu jak Anioł na Jakubie. Ale ojciec ścisnął go ze wszystkich sił kolanami i odpływając drętwo w głuchą nieobecność, kradł jeszcze po kryjomu krótką posilną drzemkę między jedną rundą a drugą. Tak walczyli, o co? o imię? o Boga? o kontrakt? — zmagali się w śmiertelnym pocie, dobywając z siebie ostatniej siły, podczas gdy nurt snu unosił ich w coraz dalsze i dziwniejsze okolice nocy.

IV

Nazajutrz ojciec kulał lekko na jedną nogę. Twarz jego promieniała. O samym świcie znalazł gotową i olśniewającą pointę listu, o którą walczył daremnie tyle dni i nocy. Czarnobrodego nie ujrzeliśmy więcej. Wyjechał nad ranem z kufrem i tobołami, nie żegnając się z nikim. Była to ostatnia noc martwego sezonu. Od tej nocy letniej licząc, zaczęło się dla sklepu siedem długich lat urodzaju.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/schulz-sanatorium-pod-klepsydra-martwy-sezon>

Tekst opracowany na podstawie: Bruno Schulz, Sklepy cynamonowe; Sanatorium Pod Klepsydrą, Biblioteka Klasyki, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1996

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Marta Niedziałkowska, Paweł Koziół.

Okładka na podstawie: Brockhaus & Efron Encyclopedic Dictionary, Double--M@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

BRUNO SCHULZ *Martwy sezon*

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.